

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.

REK z NAGŁOWIC.

Poznań, dnia 17. Marca.

ROK 1841.

**DZIENNIK DOMOWY**, poświęcony życiu domowemu, familjnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryżskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku tularów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

## Kilka wypadków z młodości jenerała Madalińskiego.

Przez autorkę powieści: *»Dwa pogrzeby.«*

(Dokończenie.)

Już przeszło trzy lata był paziem. W piękny dzień jesienny biegł wesoly przez Krakowskie Przedmieście w Warszawie — bez celu, jak próżniak miejski; raz po raz tylko stanął, to rozmawiał ze znajomym, to się przypatrywał bogatym karetom, pięknie wystrojonym paniom i panom. Gwar był po ulicach, rozinaici ludzie przechodzili — stawali — jak zwyczajnie w mieście. Nie dziwiło go więc, choć od pół godziny nawijał mu się na oczy szlachcic jakiś; zaczął jednak uważać, że mu się pilnie przypatruje, i jakby umyślnie za nim chodzi. Chcąc jego prostotę zawstydić, z uśmiechem szyderczym obrócił się ku niemu i ostro w oczy mu pojrzał. Ale naraz uśmiech z ust uleciał — oczy przestraszały zamigotały — zbladł jak chusta, i chciał uciekać. Lecz ten pochwycił go za rękę silną prawicą, a Antos odłożył wstyd na bok i zaczął się szamotać. Może byłby się i wydostał, ale go zatrzymały te słowa szlachcica:

»Puszczę cię, kiedy chcesz, ale matkę schorzałą ze żalu po twojej ucieczce, dobijesz, i rodzica sprawiedliwe przekleństwo na siebie ściągniesz.«

Na wspomnienie matki rzucił się w ramiona mówiącego i zaczął rzewnie płakać. Ten niby węża pokreślił, ale w istocie lżę otarł.

»Nie płacz chłopcze, tylko mię prowadź do twego mieszkania — widzę, żeś przy wielkiem państwie«

Rok drugi.

— dodał spojrzawszy na jego papuziowy kontusz i pas lity.

Szli obadwaj do dworu księżnej. Na pierwszym piętrze minęli kilka izb napelnionych dworską gawiedzią. Staęli w komnacie strojnej obiciem, firankami i pokrowcami na meblach; wszystko z zielonego adamaszku. Na szerokiem krześle siedziała księżna w wielkim koronkowym czepcu na wysokiej fryzurze, w sukni z ciężkiej jedwabnej materyi, rozpiętej na ogromnej rogówce, z powłokiem na kilka łokci długim. Przy drobnem cielem, zdawałaby się komu, że dodziera rzeczy po jakim olbrzymie. Szlachcic, choć ze śmiałości, z jaką wszedł i zbliżał się do pani domu, widać, że bywalec po wielkich dworach, lekko się jednak uśmiechnął.

Księżna bawiła się rozmową z dwiema respektowemi pannami. Szybko one szydelkami po tamborku przebierały, wyszywając na białej kitajce barwiste kwiaty, prędej jednak opowiadały świeżuteńkie nowiny, co się od wizytujących podowiadwały, bo na jejność nie przystało wypytywać się gości. Przerwały opowiadanie, powstały na przybycie gościa, i zasadziły go na kanapie. Księżna serdecznie mu się cieszyła — była to znajomość od dwudziestu przeszło lat, kiedy się prawowała o dożywocie w Piotrkowie, a on był deputatem.

»Uprzejmie dziękuję jegomości panu, że mu się przecie o mnie przypomniało« rzekła do niego.

»Przyszedłem podziękować księżnej pani za łaski dla mego krewnego« mówił wskazawszy na Antosia — »i prosić ją nadal o względy dla niego.«

»A wszakto wasana dobrodzieja bratunek. Choć w oczy nie dobrze młodego chwalić, muszę jednak powiedzieć, że'm kontenta z niego.«



»Cieszę się, że umiał zasłużyć na konsyderacyą księżnej pani, choć matkę bardzo zasmucił, a rodzica rozgniewał.« Obracając się do Antosia dodał: »Trzeba u księżnej pani wyprosić list dobrego sprawowania się, jechać rodzicom upaść do nóg i żebrać przebaczenia. A teraz opowiedz twojej dobrodziejce świętą prawdę.« To syn mojej ciotecznej siostry, mościa księżno, zwie się Madaliński.«

Księżna wysłuchawszy Antosia, rzekła: »Gniewałabym się bardzo na wasana o tak długie kłamstwo, ale żeś oto siostrzan jegomość pana Gutowskiego, więc ci daruję, pamiętną będąc jego względów dla mnie w Piotrkowie.

Antoś z panem Gutowskim pojechali do Wielkopolski. Matka odżyła na wiadomość, że syn się znalazł, — ojciec niby się na niego gniewał; błagali więc krewni i przyjaciele, ale najprędzej przebłagał list księżnej, zachwalający syna i obiecujący mu dalszą protekcyą. Pozwolił w dom przyjechać, matce i sobie do nóg upaść. Pan Gutowski odwoził Antosia, bo ojca jakoś strach było. We wsi kazali wolno jechać, a tego z bicia trzaskać, uprzedzając o swoim przybyciu. Kolasa wjeżdżała w bramę, kiedy Antoś ujrzał matkę na progu domu, wyskoczył z pojazdu, i biegł ku niej z odkrytą głową. — Prędzej jeszcze poskoczyła ku niemu matka, wyciągając ramiona. Radość macierzyńska kazala zapomnieć o powadze matki i o nadwątłych siłach wieku.

Już Antoś obejmował kolana matki i szlochał z rozczulenia tak szczeremi łzami, jak tego dnia, kiedy się ostatni raz z nią żegnał — a ona schyliła ku niemu okrywała jego głowę pocałunkami i łzami. Potem podniosła oczy ku niebu dziękując Bogu, że jęj tak szczęśliwego dnia pozwolił doczekać. Pan Gutowski stał przy nich, marszczył czoło i wása kręcił, a łyzy jak na złość kapały.

»Pani siostro! pani siostro!« rzekł po pierwszym rozczuleniu — »niechże i ojca idzie powitać.«

»Prawda Anteczku, prawda, chódź prędko jegomości do nóg upaść.«

Przestali płakać — zatrzymali się nawet na progu domu — gdyż syn tak przyzwyczaił się bać ojca, że go nawet nieśmiało kochać. Matce serce zadrgło ze strachu, żeby Antosia nie odepchnął — nie zląkał. Pan Gutowski wszedł na pierwszy ogień.

Jegomość chódził po obszernej izbie spiesznym krokiem. Spozstrzegłszy wchodzącego przybliżył się ku niemu, podał rękę, mówiąc: »A witam, witam panie Jakóbie, i przepraszam, że nie wyszedł przyjąć jak należy tak miłego gościa.«

»A miłszyć tu gość sercu wasana przyjechał za mną.« — Pan Madaliński zmarszczył czoło. — »Co tam panie bracie« — kończył Gutowski — »po co te dasy — przebaczyłeś raz chłopcu i basta. Prawda, że zgrzeszył — aleć to na złe nie wyszło. Zawolałam go?« — Pan Madaliński milczał.

»Panie Antoni! pozwala ojciec wnijsć« — wołał przez otwarte drzwi.

Upadł Antoś ojcju packiem do nóg — a matka blada, drżąca, ze złożonemi rękoma jak do modlitwy stała przy nich, patrząc w twarz męża. Jegomość niby się mroczył, ale widocznie wyraz twarzy miękł — a nareszcie i łyzy płynęły na widok odzyskanego dziecka, bo był surowym z nałogu, a nie z przyrodzenia.

»Podnieś się waść« — mówił łagodnym głosem. Antoś podniósł się na kolana, ojciec podał mu lewą rękę do pocałowania, a prawą go żegnał; potem rozkazał wstać i zapomnieć przeszłości.

Antoś kilka tygodni zabawił w Wielkopolsce, a potem z błogosławieństwem rodzicielskiem i ze sporą paczką dukatów wrócił do Warszawy. Ojciec całkiem był z niego kontent, bo choć u jezuitów szkół nie skończył, wcale nieźle umiał po łacinie; był też i do korda i do konia, a z ukladności wszyscy go chwalili. Dziękowali rodzice przyjacielom i krewnym za pochwały syna — matka nieraz się z radości popłakała — a ojciec z widocznym zadowoleniem na niego spoglądał.

Księżna Sanguszkowa miała wszelkie względy dla Antoniego Madalińskiego, dawniej lubiła go dla jego osobistości — teraz poważala jeszcze dla koligacyi. Z pазia został dworskim — potem marszałkiem — a nakoniec, choć ledwie dwadzieścia kilka lat liczył, rządzcą całego majątku.

Pan rządzca często jeździł z Warszawy na Ruś do dóbr księżnej, a zabrawszy zład pieniędzy, i naładowawszy prowiantów na wozy, wracał do Warszawy.

Na rok może przed konfederacyą Barską, ujechawszy ze trzy mile na spozimku krwawą drogą, stanął na popas w karczmie. Z bryki wyjął kucharz wszystko, co do podróznego obiadu potrzeba, a odsunawszy garnki żydówki i odepchnawszy żydówięta od komina, zaczął się krzątać koło obiadu.

Madaliński zasiadł na ławie, a przed nim stała gdańska, sól i chleb. Posiliwszy się skromnym śniadaniem, niespokojnie wyglądał oknem, czy wozy nie nadciągają. Aż tu na dzielnym arabczyku, w szarej opończy i kapturze na głowie ktoś zajeżdża. Maształerz odebrał konia, a do izby wszedł czo-



wiek czterdziestoletni, szczupły, miernego wzrostu. Spostrzegłszy Madalińskiego, pochwalił Pana Boga. Zrzucił oponczę i kaptur przemokły na ławę, i pospieszył do komina obsuszyć się do reszty. Ujrzawszy tam bigos z kielbasą i kawał wołowiny, rzekł do Madalińskiego:

»Waszmość panie bracie widzę nie lubi głodu, i coś duże poręce, możeby się i dla nieproszonego gościa okroiło.«

»Owszém proszę, bardzo proszę waszmości na ten skromny posiłek, wszak jeszcze raz tak dobrze smakuje, kiedy w towarzystwie pożywamy. A tymczasem gdańska nie zaszkodzi. Nalał w srebrny kubeczek, wypił do przybyłego, nalał drugi i temu podał.

Nieznamy usiadł z drugiej strony stołu i szybko spoglądał na Madalińskiego, który swoje duże niebieskie oczy utopił w małych czarnych nieznajomego. Przez chwilę patrzyli jak dwa orły. Na Madalińskiego młodej i pięknej twarzy błyszczała duma osobistej godności, a rysy drugiego chociaż regularne, miały coś dzikiego, i w uśmiechu i spojrzeniu przebijało jakieś szatańskie szyderstwo, coby się nawet zaśmiało nad grobem matki. Nieznajomy pierwszy spuścił oczy, bo w czystym i śmiałym spojrzeniu Madalińskiego uczył wyższość jego duszy. Po chwili podniósł wzrok, nie wyzywający ani badawczy, ale z jakąś układną grzecznością zapytał Madalińskiego, gdzie go Bóg prowadzi. Ten mu powiedział kto jest i gdzie jedzie, i zapytał o toż samo. Dowiedział się, że przybyły jest dworskim pana Potockiego, starosty kaniowskiego. Kucharz zastawił jadło i butelkę węgryna, a przy kieliszku szła rozmowa jakoś gładziej.

»Nie bierz mi waszmość za złe,« rzekł Madaliński — »ale dziwne rzeczy też to powiadają o starości. I ja sam, dowiedziawszy się, którą drogą jechał, tak jęj unikam, jakby nią Tatarowie swe zagony zapuścili.«

»Wierz mi waszmość« odrzekł dworzanin z uśmiechem — »djabęł nie tak czarny, jak go malują. Cóż, że czasem jakiego hardoszka w drodze ukarze — wóz przewróci — i to najczęściej żydowi.«

»I tak złe biednych ludzi po drodze przesładować. Ale cò powiem, nie bierz waszmość za urazę, bo będę mówił o jego chlebowadcy.«

»Mów śmiało, panie bracie; — owszém jestem ciekawy, cò o nim powiadają, i jaki w tém sąd waszmość pana.«

»Mój sąd nie dobrzeby wypadł na pana starostę, bo kto drugich wolności nie umie szanować, ten jęj sam nie wart. Cóż z tego, że on pan — takich

panów rzeczpospolita nie potrzebuje, oni są jęj zakalą, oni ją do zguby prowadzą, bo taki nie dba, choćby kraj i w nieprzyjacielskie ręce popadł, byle on mógł nad słabszymi przewodzić i wymyślać.«

Dworskiego oczy zaiskrzyły się. — »Co waść mówi, że pan starosta zdrajca?«

»Uspokój się, panie bracie. — Gadałem, żeś pozwolił; przecie waszmość u mnie w gościnie, więc przepraszam, jeżeli co powiedział z urazą.«

»Prawda, żeś pozwolił! — ale waszmość nie myśl, że pan starosta zdrajca« — dodał łagodniej.

»Spodziewam się, że gdyby nim był, tobyś waszmość na jego dworze nie przemieszkiwał. Ale kiedy mam mówić prawdę, to ten nie wiele wart, kto nad słabszymi tak się pastwi. Pełna Litwa i Korona tego, jak przed rokiem kazał pochwyć jakiegoś chudego pacholka, co przejeżdżał koło niego, a nie zdjął czapki, i powiesił go przez pas na sznurze u czubka wysokiej sosny, obciawszy jęj gałęzie. Odwiązał się nieborak, ale spadając złamał obiedwie nogi. Kto tak z bracią się obchodzi, ten ich kochać nie może — a kto ludzi nie kocha, còż kocha w ojczyźnie? Czy piasek i kamienie?«

»Ale w Litwie i Koronie nie powiadano« odrzekł dworski z chępliwością — »że pan starosta dał szlachcicowi wioskę dożywociem, i dzisiaj choć kulawy, błogosławi mu za tę psotę, bo dawniej miał lichą chatkę i parę zagonów roli.«

Te słowa wywołały wżgardę na twarz Madalińskiego — zatrząsł się cały — rozcierwienił i splunął. — »Fuj, do djabła! więc ten szlachcie ma psią naturę, jeżeli wdzięczny za zgruchotane kości i kawałek chleba. — Gdyby mnie tak zrobił, rzuciłbym mu chleb pod nogi, a kulą w łeb!«

»Z waszmość panem widzę niebezpiecznie byłoby zadzierać. Pan starosta poznawszy go, miałby też pewno wszelką estymę dla niego, i starałby się o jego przyjaźń.«

Madaliński miał còś odpowiedzieć, kiedy wielorakie trzaśnięcie z biczy zwróciło jego uwagę na podwórze. Przed karczmę zaczęły zachodzić kolasy, bryki, wozy, szlachta i pacholcy na koniach. Do izby wszedł szlachcie porządnie przybrany, zdjął czapkę, przybliżył się z uniżonością do dworskiego, i zapytał: »Czy jaśnie wielmożny starosta tu chce jeść obiad?« — »Tutaj się roztaszujcie,« odpowiedział. — I zaczęto wnosić wszystko, co do zbytkownego obiadu potrzeba. Komin był za mały, więc z przyległej chałupy wyrzucono kobietę z dziećmi i garkami na podwórze — żyda że nie dość skrzętny obito — żydówka z dziećmi zamknęła się w komorze, boby się i im było dostało. Wrzask był



po stajniach, w sieni, a nawet i w izbie, gdyż marszałek łajał kucharzy, że się nie dosyć uwijają — ci szturchali kuchcików, a dworzanie swoich pacholków.

Madaliński domyślił się teraz, że ten mniemany dworski był sam starosta kaniowski. Nie uląkł się tego, co mu pogadał, owszém cieszył się w duszy, bo mu się pewnie rzadko nadarzy prawdę słyszeć. Nie ruszył się z miejsca — nie zmienił postawy; przecież sobie równi, bo obadwaj szlachta. Zmienił tylko przedmiot rozmowy, i tak grzecznie szła pogadanka, jakby między nimi nic nie zaszło. Starosta prosił Madalińskiego na obiad, i ten zaprosiny przyjął.

Na długich karczemnych stołach rozpostarto cienkie obrusy i nakryto srebrem na kilkanaście osób; ławki przykryto perskimi kobiercami. Zasiadł na nich starosta z gościem, dalej marszałek i dworzanie. W niejakiem przedzieleniu na ławkach nieprzykrytych i przy misach cynowych zasiadło około dwudziestu osób — pokojowcy, szatny, łowczy itd., sama służebna szlachta.

Na pierwszym stole było jadła i wina do zbytku; na drugim dostatkiem mięsa, miodu i piwa. Czeladź zaś jadła na powietrzu, jak kto mógł co złapać, ale i ci głodu i pragnienia nie znali.

Starosta był rad gościowi, wina coraz lepszego kazał przynosić. Madaliński, jak wtedy każdy polski szlachcic, lubił wypić, boć to było ich rzemiosłem.

Po obiedzie starosta rozochocony prosi swego gościa w kije. Madaliński, wyższy i silniejszy postawą, a przytém tęgi rębacz, łatwo po kilku złożeniach strzaskał kij w jego rękę. Starosta kazał sobie podać drugi, i używał wszystkich sił i zręczności, ale nadaremnie. Przeciwnik widocznie go ochraniał, bo dworscy się jakoś marszczyli, a on choć był zuch, ale ich tam było za wielu.

„Waszmość panie bracie widzę i rębacz tęgi“ — porzucając kij rzekł pan starosta. Wtedy marszałek wyżywa Madalińskiego; tego nie oszczędzał, i po kilku złożeniach wpadł marszałek w komin. Śmiech powstał w całej izbie, a ten rozgniewany pochwyił za szablę złożoną na ławie. I Madaliński ujął za swoją. Ale starosta stanął między nimi — nalał kielich wina — zawołał „zgoda“ i oddał go w ręce marszałka, a ten wypił do Madalińskiego, —

Zaczęto się wybierać do odjazdu — starosta szepnął coś koniuszemu. Żegnając się z Madalińskim polecał się jego braterskiej pamięci, ofiarując mu swoje usługi w każdej potrzebie; ten dość zimno dziękował i tak wyszli przed karczmę. Tu stał pię-

kny arabski koń z bogatym rzędem, starosta prosi Madalińskiego, żeby go przyjął na pamiątkę — on się skrzywił i milczał.

„Więc waszmość gardzi moją pamięcią“ rzekł starosta z przyciskiem, i zamroczony spojrzął na Madalińskiego — a szlachta zaczęła pomrukiwać. Ten widząc tylu ludzi gotowych na każdy kaprys pana, nie miał ochoty pogniewać go na siebie, i przyjął konia cały zarumieniony, bo go ten podarunek poniżał i gniewał.

W rok potem Madaliński jako rotmistrz w konfederacyi Barskiej dokazywał na tym samym arabczyku. Nieraz jak strzała zaniósł go i wyniósł z pośród nieprzyjaciół, a Madaliński kolegom opowiadał, jakim przypadkiem do niego się dostał, dodając: „Zwierzę piękne, więc je zatrzymałem, myśląc zawsze, że się przyda ścigając wrogów — a może i samego pana starostę.“

Po upadku konfederacyi Barskiej, uboższa szlachta już nie chciała iść na dwory panów, każdy wolał pracować na swoim zagonie, niż jadać chleb tych, co nie kochali i nie umieli bronić kraju — pierwszy to był krok ku reformie społecznej w Polsce. I Madaliński osiadł na wsi; później wszedł do kawaleryi narodowej, i w kilka lat został generałem. Rok zaś 1794 ty wpisał go w poczet ludzi należących do historii.

B. F.

## ① emancypowaniu się stósunków familijnych.

### 1. Stósunek żony do męża w chrześcijaństwie.

(Ciąg dalszy.)

Przejściem do chrześcijaństwa są ludy germańskie i słowiańskie. Powódź narodów nasza od północy i wschodu, rozsiedlona na olbrzymich ruinach państwa rzymskiego. Jak złe jest jadem, zatruciem dobrego, tak dobre zatruje, rozgryzie złe. Tym jadem napuszczonym w obyczajowe zepsucie starożytnego świata było słowo ewanigeliczne. Ale to słowo objawić się musiało w sercach. Wnętrze Romy wygorzało namiętnościami. Trzeba było na to innych, młodych, silnych plemion. Takimi byli Germanie i Słowianie. Dusze ich musiały być czyste, nieskażone, bujne jak nowina, aby zasiane słowo Boże przyjęło się i zeszło. Tak usposobioną musiała być i kobieta nowych plemion. Jakoż wstydlivość najwyższym była jej zaszczytem, rzekłbym, całą wartością. Na tym przymocie niewiasty zaszczepiony



został sakrament małżeństwa. Wstydlivość jest wyższością ducha nad ciałem, zacności człowieczeństwa nad zmysłowością, świętości obyczajów nad rozkoszami; kiedy więc wionął duch religii Chrystusa po germańskich i słowiańskich plemionach, przygotowane zastał już umysły.

Zepsuciem i rozwzięłością kobiet upadł Rzym, upadły Ateny i Sparta; cnotą kobiet, uzacnioną poszanowaniem samego barbarzyństwa, dźwigiły się do potęgi germańskie i słowiańskie ludy. Nigdy już odtąd w historii nie powtórzyło się takie rozkiełznanie niewieście. Zgorszenia tego rodzaju państwa rzymskiego na wschodzie, nie były tak powszechne, i policzyć je trzeba na karb starożytnego ducha, co się tu aż do Paleologów przeciągnął. A zepsucie obyczajów za upadku państwa Franków, później na dworze Wersalskim, i indziej jeszcze, było zepsuciem dworów samych, skutkiem zuwiewiałości i despotyzmu rządzców, a choć z góry udzielało się w niższe sfery towarzystwa, nie wychodziło nigdy z ludu i dla tego przemijało. Wśród samych rewolucyj, kiedy obalono trony i ołtarze, zepsucie obyczajowe nie stało się zarazą, na którąby wymarły narody, jak wymarli Grecy i Rzymianie.

Tak silny jest pierwiastek cnoty, który uczcił barbarzyński ród Germanów i Słowian, że w najpóźniejszych pokoleniach osłaniał zacność kobiety i szlachetnił; a przez nią szlachetnił się ród ludzki.

Wszakże wiele ktemu przyłożył się i chrystyanizm; tak ściśle z onym pierwiastkiem nowych plemion spojony. Bo i religia Chrystusa była tryumfem ducha nad ciałem, nieba nad światem, zbawienia nad życiem doczesnym. Uwielbiona przezeń została niewiasta, bo z niej się narodził Zbawiciel świata, poczęty z Ducha Ś. O koronę męczeńską szły w zawód i kobiety, i przelewały krew za wiarę Naza-rejską. A majestat Boski otoczony chwałą świętych płci obojęd. Macierzyństwo najwyższą w niebie zaszczycone godnością, aby takie było i na ziemi. Matka Boska jest królową nieba, najbliższą orędowniczką rodzaju ludzkiego do Boga. Płeć samą uszlachetniła religia nowego zakonu, i złe tego świata przeobraziła w czartów, w same duchy męzkie, nie żeńskie. Bo miłość, będąca podstawą całej ewangelii, nie może mieć w sobie nic złego; a miłości symbolem jest kobieta. Miłość jest jej żywiołem, jest duszą jej duszy, przeglądającą się do nas w czarownym spojrzeniu ócz, blaskiem uroczym olśnionych. Kochać jest przeznaczeniem kobiety.

Wszakże religia Chrystusa tę miłość kieruje ku Bogu, każe kochać człowieka, a więc i męża, tylko dla Boga. Bóg jest najwyższą miłością, i ogarnia

wszystkie miłości, jest ich źródłem i ujściem. Uczucia wzajemności płciowej, z-idealizowane są i uszlachetnione wysoko, nieoledwie z ziemi podniesione do nieba. Jak w aniołach zatarta jest płciowość, i tylko niebieskie w nich przegląda ubłogostawienie, tak i w miłości płciowej, dusze tylko, z zapomnieniem ciała, w jedno boskie uczucie się zlewają. Zasada miłości platońskiej była u starożytnych wyjątkiem, w chrześcijaństwie jest regułą, bo miłość Boga czyści ją i uświęca. Ztąd i małżeństwo jest ustawą boską, jest sakramentem. Tą zasadą upada dotychczasowe niskie stanowisko żony. Ani ma być rzeczą, ani narzędziem, ani niewolnicą. Przeznaczenie jej nie jest więcej wytknięte praktycznym celem, jak w Grecyi; ni tak pokornym stanowiskiem, jak w Rzymie. Przez miłość emancypuje się do równości z mężem. Jak w obliczu Boga dwie dusze nieśmiertelne równe są zupełnie co do istoty, tak w męczyźnie i niewieście równy jest człowiek, z temi samymi prawami przyrodzonymi. Miłość ten stosunek równości podnosi jeszcze i wprowadza w rzeczywistość między małżonków. Te same im służą swobody, te same prawa. Mąż uzupełnia się żoną, żona mężem. Ta mu daje znaczenie familijne, on jej socyalne.

Do tej równości małżeńskieję z ducha wyzwoliła się niewiasta w chrystyanizmie. Najściślejsze jednożeństwo i sakramentalność ślubów były tego postępu koniecznym następstwem. Małżeństwo bez miłości, jest umarłe, bez życia, cczą formą, mechanizmem. Gdzie zaś jest miłość, tam się ona nieogranicza czasem, nie widzi ani pojmuje końca dla siebie, i dla tego nierozzerwalność ślubów usprawiedliwiona. Miłość nie jest kontraktem, który się rozchodzi, gdy strony nie dotrzymały warunków. Ci, co się raz pomilowali, raz zrosli w jedną duszę, mają obowiązki względem siebie, aczby uczucia serc ich dla siebie już ostygły.

Niewiasta i małżeństwo nowego zakonu tak pojęte, rozwinęły się w kolei chrześcijańskich wieków na poezję i prozę, w rycerskich czasach i w przemysłowych. Między niemi trzyma środek sztuka, owa dworska elegancja, mianowicie we Francyi.

Religia chrześcijańska, jako religia ducha, przybrała niebawem przez swój antimateryalny kierunek ascetyczny charakter. Do umartwień ciała należało przedewszystkiem wyzucie się ze wszelkiej ziemskieję miłości. Powstali pustelnicy, otworzyły się klasztorzy zakonników i zakonnice. Ten sam charakter udzielił się także stosunkom świeckim. Miłość ascetyczna do niewiasty, zamieniła się w cześć dla niej prawie religijną. Nietylko kruszono kopije, ale poszczono,



biczowano się na cześć kobiet. Był to rodzaj jakiegoś błędnego obłąkania, jakiegoś chorowitej wyobraźni, co zajęta urokiem płci i wdzięków niewieścich, ciało kochała, rozumiejąc kochać ducha. Miłość tak wypaczona między zmysłowością i duchowością, mogła zrodzić nawet Don Quixotów. Calej wieki rycerskie są mniej więcej awanturczymi wyprawami, mniej więcej bałwochwalstwem dla niewiasty. Wszakże to właśnie stanowisko było arcy-poetyczne. Były to wieki minstrelów i trubadurów opiewających przygody miłości, zaklętych dziewic, i błędnych rycerzy; wieki turniejów na hołd Dam wyprawianych, gdzie z rąk pięknych zwycięzca o zgietym kolanie zdobion był w nagrodę męstwa; wieki wojen krzyżowych i strasliwego sądu Felmy. Ilez w tém wszystkim ideałów, kwiecistości i woni! Dzieje owoczesne wydają się jak pałace i ogrody zaczarowane, pełne bogactw, roskoszy i blasku, w których rodzaj ludzki mieszkał zaklęty, a smok przesądu wielogłowy leżał na straży u furt jego.

Ale taka poezja niemogła być ciągotrwała, człowiek nie utrzyma się długo na wysokościach ideału. Kiedy więc przy uroczystościach i turniejach kobieta w całej swojej występowała chwale, nieole-dwie jako madonna ziemską, otoczona czią rycerstwa, i blaskiem uroku; to w życiu powszednim znikalo wszystko, jak w kościele, gdy świece wygaszą, i promieniejący złotem i kamieniami obraz Boga-Rodzicy firanką zaslonią. Na scenie rycerskiego zawodu, kobieta była tylko dekoracją, romantycznym teatru wystrojem. W domu życie jej nie miało żadnego powabu. Mąż był panem nieograniczonym, nieraz despotą, żona uległa, bez zdania, zamknięta wśród służby kobiecej w komnatach swoich. Głębokim ukłonem, nieraz ugięciem obu kolan, witała pani zamku męża i rycerskich gości jego. Życie niewiast i żon po burgach było nieczynne, jednostajne, nudne, bez znaczenia. Niższe o wiele od mężczyzn co do odebranego wychowania, nie mogły ani umiały się podnieść do równiej z nimi godności, szanowały ich w pokorze serca jako panów swoich, a przystępowały do ślubów więcej jako ofiary Bogu poświęcone, niżeli z miłości, coby płonęła w ich łonie roskoszą dożywotniego szczęścia. Dla zbytku ideału, który wyobrażenia owowieczne zapelniał, miłość nie mogła przyjść do rzeczywistości, była czią mężką dla niewiasty; szacunkiem, podziwem kobiecym dla męża. Przed miłością Boga, nie umiano jeszcze miłować ludzi; ta miłość serc między sobą, ten raj na ziemi, była dopiero instynktem. Ztąd owe drobne ciała kobiet obok żylastych, silnych i barczystych mężczyzn;

piętnastoletnie małżonki obok czterdziestoletnich mężów!

Mimo przecież tej zewnętrznej czi i idealnego poszanowania dla niewiast, odzywała się w rycerzach i zmysłowa strona. Książęta wiedli za sobą na wyprawy cały harem białogłowi, a biada była niewiastom zdobytego miasta. Rycerze łotrzący pędzili do burgów swoich gromady białogłów, jako zdobytcz; a uprzykrzywszy je sobie gnoili w lochach podziemnych. Sami nawet rycerze bez zmayı i skazy, przywłaszczali sobie gwałtem córki swoich lenników i służbowych, i mienili to być dobrém prawem swoim. Być bastarden, nie było hańbą, ale zasługą. Z tego tytułu osiągnano księstwa, baronostwa, najwyższe godności. — Taka więc proza ukrywała się pod poezją średniowiekową, taki był jad w kielichu pięknego kwiatu ukryty, taka nieschlujność wewnątrz pysznego gmachu. Blichtrzem tylko była wolność kobieca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## ROZMAITOŚCI.

Szpada Franciszka I. W ostatnich czasach często wspomniano, iż córka brata Napoleona wniosła Demidowi przy zaślubieniu między innymi rzeczami posagowemi i szpadę Franciszka I. Murat, ówczasowy książę Bergu, rozkazał po wejściu do Madrytu w roku 1808. zabrac tę szpadę tamże znajdującą się i przesłać cesarzowi. Napoleon przyjął ten dar z wyraźną radością, rzekł jednak przypatrując się głowni: »jest to szpada po walecznym żołnierzu, ale złym wodzu.«

Strzelec i dwóch żandarmów. We Francyi, jak wiadomo, wolno każdemu polować, kiedy i gdzie chce, byle zaświadczenie wykupił. Żandarmy dają przeto baczne oko na polujących bez zaświadczenia. Dwóch żandarmów chodziło po polu niedaleko Valenciennes, nakoniec ujrzeli człowieka polującego. Natychmiast poczęli go gonić, strzelec zaś zdawał się uciekać. Po półgodzinném ubieganiu, zbliżyli się do uciekającego, tak iż już go schwytać mieli, kiedy strzelec wpiął się na drzewo. »Zejdź natychmiast!« wołali żandarmy, strzelec nie odpowiadał. Grozili mu, że nie odejdą, aż sam spuści się z drzewa; na to wyjął strzelec z torby śniadanie i z najzimniejszą krwią jeść począł. To już żandarmów tak zniecierpliwiło, iż jeden wdrapał się na drzewo i rzekł: »w imieniu prawa żądam od ciebie zaświadczenia.« Ten z spokojnością oddał zaświad-



czenie. »Wszakże sprawiedliwe?« zapytał strzelec. »Tak, urzędowe zaświadczenie,« odpowiedział żandarm — »ale czemużes uciekał?« — »Ja bynajmniej nie wołałem na wacpanów, abyście za mną gonili.« — »A dla czego wpiąłeś się na drzewo?« — »Ja zwykłem na drzewie jeść śniadanie, i nie wezwałem wacpanów do wdrapywania się na drzewo.« — »Czemu jednak tego wprzód nie powiedziałeś?« — »Nie zwykłem nigdy odpowiadać niezapytany.«

Kobiety na giełdzie paryzkiej. Giełda paryzka straciła wiele uroku od czasu, jak kobiety z galerii oddalono, bo kobiety te lubo nie stanowiły powabnej ozdoby, przynajmniej przyczyniały się do malowniczego widoku giełdy i dostarczały najosobliwszego rodzaju graczy giełdowych. Galanterya służby giełdowej dostarczyła tym zapalonym spekulantom maleńkich krzesel, które na rozkaz dyrektora giełdy teraz im odebrano. Widziano tam kobiety z wszystkich stanów, od księżnej do praczki. Meklerzy chodzili między nimi i wypełniali polecenia. Rozróżniano dwie klasy między nimi: właściwe spekulantki i tak zwane pończoszniczki (tricotuses). Pierwsze ubrane w kapelusze, płaszcze futrem i kaszemirem osadzone, grały w publiczne papiery na wielkie pomiary. Pończoszniczki zaś były kobiety w czepcach, szlafroczkach kartonowych i czarnych pończochach, które, jak żartownisie mawiali, frykasowały piastry. Wszystkie prawie grały w papiery zagraniczne rządowe, których kurs nader często się zmieniał. Od czasu, jak kobietom przystęp wzbroniony został do giełdy, zniknęła klasa bogatszych spekulantek i tylko pończoszniczki pozostały po za kratami giełdy, z kąd dają polecenia i tworzą niepiękną grupę.

Londyn. Londyn ma sobie właściwą cechę, która go od innych stolic odróżnia. W Paryżu, Wiedniu, Berlinie, Rzymie, Warszawie i t. d., stykają się ze sobą najrozmaitsze pomieszkania. Hotele, mieszkania rzemieślników, fabryki, obok pałaców, zamieszkałych przez bogaczy; rzadko znajdziesz trzy lub cztery kamienice obok siebie, w którychby osoby jednego stanu lub powołania mieszkały. Przeciwnie w Londynie przeznaczone mają dla siebie pewne klasy osób ulice lub dzielnice i tego przeznaczenia nie przekraczają. Na téj lub owéj ulicy, np. na Baker-Street, mieszkają tylko osoby, które najmniej 10,000 tal. rocznie na utrzymanie domu wydają; przy Grosvenor lub Belgrave Square nikt nająć nie może mieszkania, co nie wydaje rocznie 50 do 150,000 tal. i tak dalej; skoro więc kto ulicę wymieni, przy której mieszka, już tém samém ocenić można jego majątek. Ale zawsze

w przypuszczeniu, bo jak wiele świetnej nędzy nie otaczają te przepyszne gmachy! Jak wiele familli żyje na wielką stopę, a trudno domyślić się, z kąd biorą pieniądze na swe ogromne wydatki.

Mowa Trapistów na migi. Trapistom wolno tylko na spowiedzi mówić, nawet w czasie spotkania się memento mori nie wymawiają, jak błędnie o tém mniemają. Znaki, migi służą im tylko do porozumienia się wzajemnego. Ubiory, sprzęty, naczynia i narzędzia mają u nich osobne znaki, równie jak godności duchowne. Kiedy palec żują, znaczy jeść, pić zaś skoro ust dotkną zgiętym palcem. Dobre oznaczają przyciśnięciem ręki do serca. Oczy rękoma zakryć, znaczy tyle, co hańba lub niewiadomość, patrzeć w otwartą rękę, co czytać, palec wyciągnąć oprócz pierwszego, co zaprzeczać, usta pięcią palcami zatknąć, co pościć, położyć palec na oko, co patrzeć. Kto chleba żąda, tworzy otwór z pierwszych trzech palcy, zupy z jarzyny, dwa palce wyciąga i górny szybko cofa. Na oznaczenie séra ścisną rękę ku sobie w półksiężyc, mleka, ssie mały palec, owoców, tworzy z palcy kółko. Jeżeli żąda książki, wyciąga lewą rękę i dotyka jęj dwoma palcami prawej, jakby chciał karty w niej przewracać. Na oznaczenie mszałów, ewangelii, psalterzy, hymnów i t. d. mają osobne znaki.

Jedyna bóżnica żydowska w Hiszpanii. Jedyna bóżnica w Hiszpanii znajdowała się w Toledo. Nienawiść Hiszpanów złagodzili tameczni żydzi następującą powieścią: Kiedy Jezusa stawiono przed sąd, pytała rada kapłanów pod prezesostwem Kaifasza wszystkich pokoleń, czyli oskarżonego ma potępić, lub puścić na wolność. I żydom — w Hiszpanii zadano takie pytanie, ale gmina w Toledo żądała uwolnienia Jezusa i tym sposobem nie splamiła się krwią sprawiedliwego. Oryginał téj powieści, napisanej w Toledo po hebrejsku z tłumaczeniem obok łacińskim, znajdować się ma w archiwum watykańskim. Przez wdzięczność dla tego dozwolono żydom w Toledo wybudować bóżnicę.

Środki francuzkie przeciw cierpieniom piersiowym. — Następujące środki uważają we Francji za najpewniejsze w cierpieniach płucowych, i każdy z nich ma być dostatecznym do uleczenia asthmy (ciężkiego oddechu), suchot i t. d. Kąpiel karugowa. Ciepła kąpiel, w której dwa do trzech funtów karugu rozpuszczono, tak, iż za dotknięciem na ciele oblega, bierze się raz na dzień, wystrzegając się przytém wszelkich omywań. — Zupa aromatyczna. Tę robią z kurcząt nadzianych daktylami, figami i rodzenkami, które gotują tak długo, aż wszystko stanie się masą z mięsa i słodczy, tru-



dną do rozeznania, którą w zupie co dwie godziny jeść należy. — Syrop orszadowy, który Francuzi za domowe niezawodne uważają lekarstwo. Jest to sok z słodkich migdałów, gummy i wielkiej ilości cukru na gęsty syrop przetworzony. Łyżeczkę od kawy tego syropu dobiera się do szklanki ciepłej wody, co stanowi brzydki ciepły napój, który dzień i noc używać powinien chory. Damom cierpiącym zalecają także francuzcy lekarze palenie cygar z kamforą.

**MODY.** — Paryż, dnia 10. Marca 1841. — Suknia z frygijskiego atlasu z dwiema falbanami, kapelusz niebieski z marabutem tegoż koloru, krótki płaszczyk, stanowi piękny ubiór, równie jak następujący: suknia z zielonego aksamitu, chinchillowym szerokim paskiem osadzona, podobny szal długi, kapelusz z niebieskiego aksamitu, z wiankiem pióropuszcowym tegoż koloru.

Tę chwilę piękne robią szlafroczyki z atlasu, mające u dołu dwa rzędy plecionek, to jest złożone z rulek dwóch atlasowych przekładanych. Po obu stronach powłoki wznoszą się ku górze, zbliżają do siebie u stanika, i potem rozszerzają na piersiach w kształt wachlarza. Samo się przez się rozumie, że te rolki napiersne i naramienne, utrzymujące obadwa żokeje u wąskich rękawów, powinny być daleko węższe, niż na powłoce. Stanik gładki, w serce otwarty i orzucony malenkim kołnierzykiem koronkowym. Ślicznie to wszystko wygląda przy mantylli i kapeluszu z czarnego aksamitu.

Coś świeżego a nowego są girlandy z kwiatów, użyte ku ozdobie ramion u sukien balowych.

Na wieczorze danym przez panią S. spostrzegłszy gustownie ubraną młodą Damę. Miała tunikę białą krepową z zaokrąglonemi rogami, osadzoną girlandą z białego stokrocia; gładki z przodu ku przepasce w kształt serca wycięty stanik, otaczał wieniec białego stokrocia na około; i na brzegu rękawów, złożonych z małych w środku rozciętych i kwiatami otoczonych żokejów, znajdowały się dwie girlandy. Pod tuniką, przypominającą starodawne tuniki, była suknia biała atlasowa, z gładkim, czworokątnym stanikiem i krótkimi wązkami rękawami. I suknię atlasową otoczono u dołu girlandą stokrocia, które jednak większe były niż u tuniki. W włosach girlanda z stokrocią, ku czołu nachylna, włosy rozczesane i grecka kokorda.

Drugim pięknym ubiorem była suknia z gazy złotem przerabianej o trzech powłokach; każda powłoka miała szeroki brzeg osyty fręzlą z złota i

białego jedwabiu. Gładki sznepkowy stanik, u góry na piersiach i na plecach podobne draperje, ułożone z podobnej tkaniny i fręzli. Krótkie obcisłe rękawy, także trzema rzędami fręzli otoczone; szarfa gazowa owijała kibić i opadała ku końcowi pierwszjej powłoki. We włosach dwie gałązki białych róż z aksamitu wyrobionych, z sercami djamentowemi i liściem złotem. Z tyłu iglice z gałeczkami djamentowemi. Żadnych zausznic, żadnego naszyjnika, ale za to wielka szpilka djamentowa na piersiach.

Tę zimę suknie jedwabne i krepowe na bale dzieliły wziętość z pięknymi tkaninami jedwabniami. Do najpiękniejszych tego rodzaju należały z chambery-gazy, przerabianej w najpiękniejsze wzory jedwabiem, złotem lub srebrem. Największy przecie przepych zasadał się na szalach kaszemirowych, koronkach i klejnotach. Szczególniej upowszechniają się czarne koronki, ale są zbyt drogie.

Nie masz Damy eleganckiej, która by flaszeczki z pachnącą wodą nie miała za przepaską.

Cały zbytek mężczyzny tej zimy ogranicza się na kamizelkach.

Gdy u nas wszystko coraz więcej się wyrównywa i ubiory tracą na swych przepychach, zjawia się nowy zbytek w chłodnikach, o których tutaj cokolwiek wspomnimy. Towarzystwa terazniejsze nie są gastronomiczne wyłącznie, duch wziął przewagę nad materyalnością i dla tego to same nawet ciasta, cukry, syropy i lody przybierają pozór gustu i świeżości dawniej nie słychanej; nie tylko podniebienie polechtywać, ale i oko bawić mają. Najpiękniejsze owoce, najświeższe kwiaty z niepojętą sztuką nasładują. Tortoni w tej mierze przesadził nawet wszystkie marzenia Brillat-Sawarina.

## Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór maskowy.
2. Suknia aksamitna z gładkim stanikiem, krótkimi rękawami — które są z trzech bufek białych atlasowych utworzone. Z boku powłoka otwarta, z pod niej biała atlasowa ukazuje się, spięcie powłoki klejnotowe. Szal koronkowy. Tok aksamitny z ślaniającem się piórem.
3. Watowany kapelusik, strojny bufkami wstążkowemi i piórem. Szlafroczek grosdenapłowy z ukosami aksamitnemi, do tego spencer aksamitny z obcisłemi rękawami i wycięciem w kształt serca. Mantylla z różowego atlasu, orzucona łabędzikiem.
4. Ubiór balowy. Suknia tulowa z spodnią kolorową, wstążkowe bufki i kwiaty zdobią powłokę, jakoteż stanik i rękawy. Strój głowy z małego kwiecica i długich końcy koronkowych.





L. Britton, sc.



